

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 30 XI. 1928.

Nr. 3

JÓZEF CHELMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

19

Na ten rozkaz cała zgraja otoczyła detektywa.. Pochwycił go kilka ramion i niemal uniosło w powietrzu.

Lorenz zwrócił się do Gustawa:

— Na rogu ulicy stoi nasze auto. Natychmiast je sprowadź.

Gustaw czempredzej wybiegł.

Suchocki nie zdradzał najmniejszej bojaźni. Nie próbował się też uwolnić z trzymających go kleszczów. Przeciwnie z zimnym spokojem odezwał się do Lorenza:

— Panie drogi. Myślę, że rozsądniej będzie jeżeli jego ludzie mnie puszcza. Inaczej zanim będziecie chcieli mnie zakatrupić, ich żelazne palce zdążą mnie zadusić.

— Puścić go! rozkazał Lorenz.

Poczem zbliżywszy się do detektywa tak, że dotykał jego twarzy swoją twarzą spojrzał mu głęboko w oczy i wycedził przez zęby:

— Jeszcze czas. Jeszcze możesz pan się cofnąć i zarzucić ten nonsensowny upór.

— Żaden to nonsens, odparł Pchła, raczej konsekwencja. Nie wypada mi się cofać z pola walki.

— Szkoda z panem słów tracić. Gorzko tego pożałujesz. Wiesz dokąd pana zabierzemy? Zawieziemy go do starej chaty pod Tucholą. Prędzej pan się w niej znajdziesz, niżeli się tego spodziewałeś.

— Tem lepiej.

— Tak, tak, Tem lepiej dla nas, gdyż ze starej chaty noga twoja nigdy już na świat boży nie postąpi.

Po chwili zajechało auto. Bandyci wzięwszy Suchockiego pomiędzy siebie, wyprowadzili go i usadowili w otwartym wozie. Po obu jego bokach siadł jeden z opryszków, a naprzeciw niego dwóch. Wszyscy wyciągnęli browningi i trzymali je w rękach, ułożonych na kolanach.

Lorenz zajął miejsce obok szofera. Odwrócił się i powiedział półgłosem:

— Pilnujcie dobrze. Przy najbliższym ruchu podziurawić go kulami! Jazda!

Zawarczał motor. Samochód zatrząsał się i potem lekko podskoczywszy ruszył w drogę.

Gustaw stał przez kilka minut na chodniku i patrzył w stronę odjeżdżającego wozu. Następnie rozejrzał się podejrzliwie wokoło, a nie dostrzegłszy nic podejrzanego, zachichotał:

— Udało się. Będzie ten łajdak miał się z pyszna. Chyba skórę żywcem z niego złupią.

Wszedł do sieni i zamknął bramę. Kiedy wrócił do izby, zatrzymał się u progu pełen zdumienia.

Berta wciągała płaszcz i kładła kapelusz. Na twarzy jej malowała się dzika determinacja.

— A to co ma znaczyć? zapytał Gustaw.

— Idę stąd!

— Dokąd, jeśli wolno spytać.

— Nic cię to nie obchodzi. Życie takie gardłem mi wychodzi. Nie chcę być współniczką waszych zbrodni. Co wam ten człowiek dotąd złego zrobił? Wywieźcie go, aby gdzieś w polu odebrać mu życie i ciało jego porzucić. Dość tych łajdactw, wołających o pomstę do nieba. Idę.

W oczach jej zakreśliły się łzy, piersią wstrząsnęło gwałtowne łkanie.

— Berta czyś ty zwarjowała?

Wyciągnęła ku olbrz. dłonie błagalnym gestem.

— Gustaw, chciej mnie zrozumieć. Jam kobieta, stworzona na to, aby ból koić, żal tłumić, rany opatrywać. Nie potrafię przyzwyczać się do tej roli, jaką mi przeznaczyliście. Wolę w Wiśle skończyć, niżeli nadal pędzić takie życie.

Olbrzym dygotał niby liść. Porywała go pasja. Na policzkach jawiły się naprzemian to czerwone to fioletowe plamy. Wreszcie ryknął:

— Ha, rozumiem cię. Utkwił ci ten gagatek w głowie. Toć znam cię doskonale. Po czerepie tłuką ci się jakieś sentymenty. Poruszyło ci się serce! Czy ty sądzisz, że ja taki głupi, żebym cię stąd puszczał? Wyjdiesz na ulicę, to zaraz udasz się do urzędu śledczego i wszystko zdradzisz. Nie moja panno, milsza mi moja głowa aniżeli skóra tego szpicla.

— On człowiek szlachetny, a wy zbóje!

— Śmiesz jeszcze się stawiać. O poczekaj, ty ścierwo. Zamknę ci buzię. Nauczę rozumu.

Z temi słowy doskoczył do kobiety, strącił jej kapelusz z głowy, garścią uchwycił za włosy i wlokąc do drzwi piwnicznych wrzeszczał:

— Leć na złamanie karku. Może na zimnych kamieniach gorączką, twoja utraci na temperaturze.

Podniósł klapę i brutalnym rzutem zepchnął Bertę w czarną próżnię. Ciszę nocną rozdarł rozpaczliwy krzyk, odezwał się stuk upadającego ciała, rozpląnął się po kątach słaby lecz przenikający jęk i znowu zapanowała głusza.

Człowiek o twarzy buldoga zatrzasnął drzwi, podszedł do szafy kuchennej, wydobył litrową butelkę konjaku i zaczął pić szklanekę za szklanką, mamrocząc jakieś przekleństwa.

Samochód „Pięcioramiennej Gwiazdy“, przebiegłszy ulicę miasta, znalazł się na szosie wiodącej do Chełmży. Pędził z wrastającą szybkością

Bandyci milczeli. Lorenz oparł głowę o ścianę i zdawał się drzemać. Pilnujący Suchockiego osobnicy nie spuszczaali zeń oczu. Siedzieli na kształt posagów niemi i nieporuszeni, lecz detektyw miarkował, iż czujność ich pozostaje stale w jednakiem natężeniu.

W przedkiem tempie minęli Chełmę.

Noc była przesłiczna. Niebo obsiane tysiącami gwiazd wisiało nad ziemią niczem czarna aksamitna płachta, haftowana niezliczoną ilością srebrnych kropli. Z pól naddrożnych i łąk płynęła fala mocnych, ożywczych zapachów. Świergot świerszczów, ukrytych wśród zboża, krzyk nocnego ptaka, przerywały chwilami ciszę nocy.

Pchła zapuszczał swój wzrok w mroczne тумany, wiszące nad łąkami zbóż, na tajemnicze ściany migoczących gajów i myślał:

— Oto tajemnica nocy. Patrzą, widzisz a nie przenikasz. Czujesz, że tam dalej coś się kryje, coś istnieje i żyje. Nie wiesz jednak co. Dopiero świt, dopiero brzask wschodzącego słońca rozpedzi opary i ukaże twoim oczom cały widok.

Tako się przedstawia mój los w tej godzinie. Wiozą mnie gdzieś, dokąd nie znam drogi. Mylą mój wzrok mgławicą grózb i niemiłych obietnic. Kiedyż błysnie ten promień słońca, kiedy przypadek wykrzesi tę skrę, które oświetlą mi drogę działania?

Trzymaj się człowiecze. Zważaj i bądź gotów do czynu. Przecież nie zostawisz swej głowy w plugawych łapach tych bandytów. Coby na to koledzy powiedzieli.

Tego rodzaju medytacjami podsyczał w sobie energję i przepędzał z duszy zwątpienie. Położenie jego nie różniło się od tego, w jakim znajduje się człowiek rzucony w klatkę pomiędzy krwiożercze bestje. Serce mu łopatało ze strachu, rozsądek jednak kazał zachować spokój.

Samochód kierował się na Grudziądz. Po dwugodzinnej podróży przeszło jeździe zabłysło w oddali światło miasta.

— W Grudziądzu spróbujesz szczęścia, zdecydował detektyw. Zacznesz krzyczeć. Chyba posterunki policyjne zdołają samochód zatrzymać.

Lorenz jak gdyby odgadł myśl Pchły, bo nagle uniósłszy się przemówił:

— Nie rób w Grudziądzu żadnych głupstw. Byłoby to bezcelowe. A wy trzymajcie się poprzód niego rozkazu. Przy najlżejszem poruszeniu jego, pakujcie mu kule w łeb. On musi zginąć bez względu na nas samych.

— Bądź spokojny ty arcybandyto, odrzekł Suchocki. Nie zrobię wam kłopotu. Ciekawym przecież tej waszej chaty. A teraz pozwólcie mi spać.

— To ci wolno! roześmiał się Lorenz. Nawet ci to doradzam. Spotka cię przebudzenie jakiego doświadczy w życiu nie miałeś.

— Macie, jaki pled?

Lorenz podał mu wielki koc podróżny. Detektyw podwinął pod siebie kolana. Otulił się całym kocem tak, że nakrył nim nawet głowę.

Siedział na poduszkach podobny na pierwszy rzut oka do dużej paki.

— Przynajmniej chłop z niego rozsądny, pochwalił go jeden z bandytów.

— Racja, sam się wyśpi, nam zaś ulży.

Detektyw oddychał miarowo, czem wywoływał wrażenie śpiącego. W rzeczy samej jednak czuwał. Śmiał się w duchu.

— Oj głuptaski, głuptaski. Przypuszczacie,

że tak bez wszystkiego podstawię gardło pod nóż? Musiałbym być baranem, a jestem przecież Pchłą słynnym polskim wywiadowcą. Nie, nie! Zobaczycie cudownego figla. Nauczycie się brać ludzi na kawał. Najpóźniej za godzinę muszę być wolnym.

Auto przeleciało przez Grudziądz i podążyło w stronę Laskowic. Suchocki nic nie widział za to pilnie nadśluchiwał i według słuchu orjentował się w sytuacji.

Minęło niewiele więcej pół godziny. Samochód pędził nad torem Grudziądz — Laskowice. W wozie panowało milczenie. Bandyci przekonani, że Suchocki śpi, sami opuścili głowy i się zdrzemali.

A w Suchockim nerwy doszły do stanu najwyższego napięcia.

— Niedługo, powtarzał, niedługo nadejdzie chwila ratunku.

Ostrożnie, milimetr za milimetrem zaczął ściągać kołddrę z głowy. Czynił to zupełnie niespostrzeżenie. Po paru minutach poczuł na karku pocałunek świeżego powietrza.

Naraz w oddali rozległo się dudnienie pędzącego pociągu. Zbliżał się od strony Laskowic, zatem musiał wyminąć się z autem.

W mózgu detektywa zrodził się plan działania. Podciągnął nogi jeszcze mocniej pod siebie, naprężył w nich każdą nitkę mięśni i czekał.

Dudnienie stawało się coraz wyrazistsze, w końcu przeszło w donośny turkot i niezadługo Suchocki dosłyszał sapanie lokomotywy.

— Teraz! postanowił.

Uniósł ukryte pod kocem ręce na wysokość twarzy, rozłożył je po bokach ramion. Kołdra wisiała na dłoniach jakby na dwóch hakach.

I nagle stało się...

Detektyw podskoczył na siedzenie jak sprężyna, wydając z gardła wrzask przeraźliwy. Z błyskawiczną szybkością zarzucił koc na kiwających się stróżów swoich, uchwycił się rękoma tylnej krawędzi wozu, ze zwinnością akrobaty wyrzucił się ze środka samochodu, przez moment wisiał nad drogą, trącąc ją czubkami palców, wreszcie puścił krawędź i opadł na nogi. Zachwiał się parę razy to w tę to w ową stronę, w końcu odzyskał równowagę i pędem poskoczył w stronę plantu kolejowego.

Sztuka z pledem, skok na drogę trwały ledwo kilka sekund.

Bandyci zbudzeni okrzykiem detektywa stracili w pierwszej chwili orientację. Nakryci kołdrą zaczęli bić się między sobą i napróżno próbowali wydobyć się z pod koca. Dopiero Lorenz, zatrzymawszy auto, uwolnił ich od zwodniczej pułapki.

— Ha, draby, wrzeszczał. Tak spełniacie swój obowiązek? Was czterech, a on jeden! Odpowiedzcie mi za to własną skórą. Ot tam biegnie ten pies przeklęty na tor kolejowy. Dalej za nim! Raczej go ustrzelić niż mu pozwolić uciec.

Opryski opuścili wóz i puścili się w pogoń za Pchłą. On zdążył akurat dobiec do nasypu i piął się po jego pochyłości szybko ku górze. Bandyci biegli oddając strzał za strzałem. Kule przelatywały obok dzielnego wywiadowcy, brzęcząc złowrogo. Na szczęście żadna go nie ugodziła.

Po minucie rozpaczliwych wysiłków Suchocki stanął na torze. Prześladowcy jego znaleźli się w tym momencie u podnoża nasypu. Czerwone ślepie lokomotywy żarzyły się w odległości niecałych dwudziestu metrów.

Co robić?

Postanowienie Suchockiego dojrzało w mgnieniu oka. Jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie szyn. Sekundę później nadpełził olbrzymi wąż pociągu i toczył się z hałasem przed oczyma czterech bandytów, którzy zdążyli się już wdrapać na grzbiet plantu kolejowego.

Detektyw postanowił copędzej ujść przed ich pościgiem. Odczekał stosownej sposobności i z niezwykłą zręcznością skoczył na stopień wagonu. Następnie wszedł do jego wnętrza.

Podróźni się przerazili i podnieśli krzyk. Uspokoił ich, śmiejąc się serdecznie:

— Bez obawy, moi państwo! Sam uszedłem w tej chwili rękami zbrodniczym.

Podsłoczył do okna po przeciwnej stronie, wychylił się na zewnątrz i kiwał czapką ku grupie stojących opryszków i wołał:

— Do widzenia! Do widzenia!

Bandyci nie ruszali się z miejsca. Zdumienie odbierało im władzę w nogach. Zrozumieli, iż Suchocki wymknął im się bezpowrotnie. Rozumieli też że teraz grozi im większe niż przedtem niebezpieczeństwo.

— Chyba z djablem trzyma! osądził po dłuższej pauzie jeden.

— Idźmy do szefa, odezwał się drugi.

Powoli wrócili do samochodu. Lorenz widział cały przebieg pościgu i pienił się z wściekłości. Przybyłych pomocników swoich obsypał gradem obelg i wymysłów. Ostatecznie krzyknął:

— Dalej do wozu. Wracamy do Torunia. Trzeba ratować Gustawa i Bertę. Aresztowani gotowi nas zdradzić.

— Pan pozwól panie szefie, wtrącił się szofer, że zwrócę mu uwagę na nieracjonalność takiego postępku. Gustawa i Bertę nic już przed aresztowaniem nie uchroni. Pchła przyjechawszy do Grudziądza zatelegrafuje lub zatelefonuje do Torunia i nim my zdążymy zjawić się w mieszkaniu Gustawa, oboje będą siedzieli już we więzieniu. Co gorsza sami możemy popaść w ręce policji. Radzę z największą szybkością wracać do starej chaty. Trzeba nam się spieszyć, żebyśmy przejechali Laskowice zanim Suchocki stanie w Grudziądzu, bo nie ulega wątpliwości, że roztelegrafuje on o naszym aucie na wszystkie strony.

Lorenz słuchał pochmurzony. Na tłumaczenie szofera rzucił gniewne pytanie:

— A Gustaw i Berta?

— Znam ich dobrze, zapewniał szofer, oni nas nie zdradzą.

— To jazda do starej chaty!

Zajęli miejsca w samochodzie i w nastroju zbitych psów pomknęli do swej kryjówki.

Kardynał Wiesemann

FABIOLA.

— Ha! ha! ha! zabrzmiął śmiech piekielny tuż zanim. Obejrzał się i dostrzegł tylko płaszcz znikający za kolumną. Kto to mógł być, nie domyślał się Sebastjan. Był to Fulwjusz, który z tych słów dowiedział się, że Sebastjan jest niezawodnie chrześcijaninem.

Pankracjusz stanął wkrótce pośrodku areny ostatni z szeregu wiernych wyznawców Chrystusa. Zostawiono go na koniec w nadziei, że widok cierpień braci zachwieje jego słabość, lecz ta rachuba przeciwny skutek wydała.

Młodziuchny skłopot, nie mający jeszcze lat dwudziestu, stał modląc się gorąco do Boga męż-

VI.

Uchyła się rąbek tajemnicy.

Gustaw obudził się z głębokiego snu, spojrzął na zegar. Była godzina 10-ta przed poł. Do mrocznej izby wkradały się nieśmiało i rozstrzępione promienie słońca. Olbrzym przetarł powieki kulakiem, ziewnął, poczem wygromolił się na podłogę i zaczął wciągać ubranie.

Z kieszeni wypadły banknoty, jakie mu w nocy ofiarował Lorenz. Na twarzy opryszka pojawił się grymas w rodzaju uśmiechu.

— Uczciwie zarobione, mruknął. Ciekawym, co z tym ptaszkiem zrobili. Pewno już dynda na „żelaznej pannie“.

Umył się, uczesał i podszedł do pieca.

— Trzeba sobie samemu zgotować śniadanie, monologował. Berta posiedzi w ciemnicy dwa, trzy dni. To ją doprowadzi do upamiętania.

Najadłszy się, postawił naczynia na kominiku, wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom. Przekręcił klucz, nacisnął klamkę. Drzwi się rozwarły.

Gustaw rozszerzył oczy w obłędnym przerażeniu i odskoczył dwa kroki wstecz.

Przed nim stał Suchocki! Uśmiechnięty, wesoły i zwycięski!

— Dzień dobry, Gustaw! rzekł przestępując przez próg. Jak się czujesz po wczorajszych zapasach.

Gustaw podobny był do słupa kamiennego. Detektyw wstrząsnął nim i zawołał:

— Człowiecze obudź się i zamknij twoje szczęki, bo ci jeszcze wróbel wpadnie do buzi.

— Pan... pan... tu? bełkotał olbrzym.

— Tak braciszku, przecież mnie widzisz. Przyrzekłem zamknąć cię dzisiaj w okrągłaku, a że zwykłem przyrzeczeń dotrzymać, więc przybyłem. Wyciągnij łapki, żebym wygodnie mógł ci nałożyć kajdanki.

— Nigdy! wrzasnął bandyta. Zduszę cię!

— Tylko spokojnie, mityngował Pchła. Radzę iść po dobrej woli.

Gustaw szybkim uderzeniem buchnął wywiadowcę w piersi i rączym sąsem znalazł się na progu, lecz zaraz się cofnął. Trzy lufy rewolwerowe błyszczały w sieni, skierowane ku wyjściu z izby. Podbiegł do okna. I tam spostrzegł grono policjantów na posterunku.

— Zgubionym! jęknął i osunął się na krzesło.

— Gdzie Berta? zapytał się Suchocki, stanąwszy naprzeciw olbrzymu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nem sercem. Nie drgnął ani pobladał, gdy niedźwie dzie i lamparty z wściekłością do niego przyskoczyły, a gdy go już rozszarpać miały, paszcze ich zdawały się zamknięte tajemniczą potęgą i naraz odstąpiły spokojnie.

Pankracjusz stał w cudownym kole, którego potwory przekroczyć nie śmiały! Wypuszczono rozjuszonego byka. Pędził szal. Napróżd wprost na męczennika, ze łbem spuszczonej na najeżone mi rogami. Potem nagle stanął, jakby łbem o mur uderzył, jął grzebać gwałtownie ziemię i rycząc dziko, rozrzucił w koło siebie proch zakrwawiony. Pankracjusz stał nietknięty.

— Zaczep go tchórze! — ryknął cesarz nieposiadając się od gniewu.

Pankracjusz zbudził się jak z zachwyty i podniesionymi rękoma biegł ku nieprzyjacielo-

wi, lecz dzika bestja, jakby straszliwy lew na nią powstał, obróciła się i biegła ku stajni, a napotkawszy strażnika, który chciał ją zatrzymać, wyrzuciła go w powietrze. Wszyscy się zmieszali prócz śmiałego młodzieńca, który stał znowu i modlił się, gdy ktoś z tłumu zawołał:

— Czary nosi uwiązane na szyi czarownik!

Cały tłum powtórzył krzyk, a cesarz, nakazawszy milczenie, zawołał do Pankracjusza:

— Zdejm czary z szyi i odrzuć od siebie, nie czekaj aby je zdarto z ciebie.

— N. Panie! — rzekł młodzieniec dźwięcznym głosem, który przebrzmiał słodko wśród uciszonego amfiteatru: nie czary na sobie noszę, lecz pamiętkę po ojcu, który w tem samym miejscu, głóśno czynił to samo wyznawanie, jakie ja teraz pokornie czynię: jestem chrześcijaninem, i dla miłości Jezusa Chrystusa, z radością życie oddaję! Nie zabierajcie mi tego jedyne go spadku, który już przekazałem komu innemu, bogatsze-
mu, aniżeli go odebrał. Próbujcie raz jeszcze. Pantera dała koronę męczeńską ojcu mojemu i mnie da ją może.

Przez chwilę panowało grobowe milczenie; rzęsa zdawała się ulagodzona i litością zdjęta. Pełna wdzięku postać odważnego młodzieńca, oblicze pełne natchnienia, wdzięczny dźwięk głosu, śmiałość jego mowy i wspaniałomyślnepoświęcenie siebie samego wierze swej, zrobiło wrażenie na okrutnej tłuszczy. Trwało to jednak nie długo.

— Panterę! — zawołał głos jeden; panterę! — zagrzmiąło głosów tysiące.

Za chwilę puszczono panterę. Lekkim krokiem zgrabna wychowanka pustyni, wolności spróbowała i choć więzieniem i głodem rozdrażniona, swawolnie i wesoło skakała, a cicho, a składnie, jak kotka, gdy nareszcie rzuciła okiem na zdobycz, kocia przebiegłość wspólnie ze srogością tygrysa ożywiła zdradliwe ruchy pantery. Cały amfiteatr pogrążony był w milczeniu; każde oko natężało się za każdym ruchem dzikiego zwierza w zbliżaniu się ku Pankracjuszowi. On zaś stał spokojnie, obojętnie, widocznie zajęty wyższymi myślami. Pantera obeszła go w koło piersią przy ziemi, pomału posuwając jedną łapę za drugą, przyczała się do ofiary w pewnej odległości i zatrzymała się chwilę, trzymając w zawieszonym oddechu stutysięcy widzów; mruknęła głęboko elastycznym skokiem odbiła się i za chwilę ujrzała ją wiszącą jak pijawkę, z tylnymi łapami na piersiach a przednimi na gardle męczennika.

Stał nieporuszony przez chwilę, podniósł prawą rękę do ust i patrząc z uśmiechem na Sebastjana, przesłał mu wdzięcznym poruszeniem ręki ostatni pocałunek i upadł.

Arterje szyi były przecięte i sen męczeństwa odrazu zamknął mu powieki. Krew jego zmieszała się i połączyła nierozłącznie z krwią ojca, odświeżyła i wzbogaciła relikwie, które Lucyna zawiesiła na jego szyi. Ofiarę matki Bóg przyjął.

ROZDZIAŁ XVIII.

Chrześcijański żołnierz.

Ciało młodego męczennika na wieczny spoczynek złożono w cmentarzu przy Aureliańskiej drodze, któremu wkrótce nadał Kościół imię Pankracjusza, od którego i pobliska brama imię dostała.

Prześladowanie wzmagalo się coraz bardziej i co dzień mnożyło liczbę ofiar. Wielu, których imiona występowały w naszej powieści, a w szczególności mieszkańcy willi Chromacjusza padali

szybko. Pierwszą była Zoe, którą z kalectwa wyleczył Sebastjan. Napadniętą przez pogański mółoch u grobu św. Piotra, gdzie się modliła, natychmiast przed sąd zaprowadzono i zawieszono głową na dół i wędzono nad dymem ogniskiem póki nie wyzionęła ducha. Mąż jej z trzema innymi razem nawróconymi, schwytany został w gronie ich, męczony i ścięty. Trankwillinus, ojciec Marka i Marcelina, poszedłszy wśród dnia na modlitwę do grobu św. Pawła, ujęty na tej zbrodni, natychmiast bez sądu ukamienowany został. Synowie jego, bliźnięta, także ciężką śmiercią poginęli. Zdrada Torkwata i dany przezeń donosicielowi rysopis dawnych jego towarzyszków, a w szczególności odważnego Tyburcjusza, który został ścięty, wielce ułatwiały dzieło zniszczenia.

Sebastjan czuwał wśród ogólnej rzezi, jak wódz na polu bitwy, widział przed sobą jedynie zwycięstwo, doliczał do pełnych chwały bohaterów każdego, który z kolei życie oddał dla odkupienia zwycięstwa i zarówno gotów był własne oddać życie na pierwsze zawołanie z góry. Śmierć każdego przyjaciela, jeden związek z ziemią zrywała, a ogniwo dodawała do łańcucha, którym go Pan sobie przyciągał; siadał czasem samotny i zadumany w miejscach, gdzie dawniej z Pankracjuszem rozmawiał, przypominając sobie wesołość, wdzięczne myśli, niewinną cnotę miłego i zacnego młodziana.

Lecz czuł, że nie byli rozłączeni na długo, czuł że wkrótce miała przyjść kolej na niego. Widział w sercu swoim rosnącą łaskę męczeństwa i w spokojnej pewności oczekiwał godziny wezwania. Przygotowania były krótkie: cokolwiek miał w pieniądzach, rozdał między ubogich; a wszelką inną własność zabezpieczył sprzedażą od grabieży cesarskiej.

Fulwusz dostał piękny dział w łupach pchrześcijańskich, lecz wogóle zawiedziony był w nadziejach. Nie był już zmuszony prosić o wsparcie cesarza, którego przytomności unikał, lecz i nie zbogacił się. Co wieczór musiał słuchać wymówek Eurotasa, który surowego domagał się rachunku ze spraw dnia każdego. Teraz wszakże oświadczył ponuremu panu swemu — gdyż panem nieszczęsnego był Eurotas — że postanowił większym popisem się zamachem na cesarskiego ulubieńca, który w służbie musiał wielki zebrać majątek. Majątku zaś tego połowa stała się miała własnością Fulwjusza, a raczej Eurotasa.

Niedługo na sposobność czeka.

9 stycznia było publiczne i uroczyste posłuchanie u cesarza, gdzie się zebrałi wszyscy wyglądający łaski, lub obawiający się gniewu cesarskiego. Fulwusz stawiał się wraz z innymi i, jak zazwyczaj, doznał zimnego przyjęcia, lecz zniósł w milczeniu objaw pańskiej niełaski, postąpił śmiało, upadł na jedno kolano i tak przemówił:

— Panie! boskość twoja wymawiała mi nieraz, żem przez odkrycia moje nader słabo odplacał łaskawość twą i szczodrotę! Lecz teraz odkryłem najszkaradniejszy spisek, z najpodlejszą niewdzięcznością knowany przez ludzi bezpośrednio zbliżonych do boskiej twej osoby.

— Co chcesz powiedzieć, głupcze? — zapytał tyran niecierpliwie. Mów odrazu, albo ci każę słowa z gardła powyciągać!

(Ciąg dalszy nastąpi.)